

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Historia Francji opowiadana wnukom przez Guizota. — Zwrot ku Gallom. — Zawód professorski i prace literackie s. p. Villemain'a. — Pierwiastki Celtyckie przez Dr. Michałowskiego. — Słowianizm i Celtyzm. — Przyjęcie do Akademii p. Barbier. — Retoryzm p. Sacy. — Poezye p. Barbier. — Maurycy Saski, dramat p. Amigues. — Areny Paryżkie. — Wspomnienia młodości Mickiewicza, z listu Domejki rektora uniwersytetu w San Jago. — Karol Dickens. — Rozmaitości.

Dawno zapowiedziana historia Francji Guizota, zaczęła wychodzić poszytami. Tytuł jej mówi że jest prostym opowiadaniem przeznaczonym dla nauki wnucząt. Gdyśmy jednak otworzyli pierwsze stronnice, spostrzegliśmy odrazu, iż znakomity historyk-filozof, ma na widoku nie same tylko dzieci. W rzeczy samej, jest to summarysz badań autora, na polu dziejów ojczystych. Taki summarysz Guizota, ważnym jest zjawiskiem. Należy go uważać, jako dopełnienie Historii cywilizacji Francuzkiej.

Zobaczmy najprzód, jak sam autor ocenia znaczenie historii i jak określa ramy swojej pracy. Oto list jego do wydawców:

„Dowiedzieliście się panowie, że od kilku lat z ojcowskim zamięłowaniem opowiadam historię Francji moim wnukom. Zapytaliście mnie czy nie mam zamiaru ogłosić drukiem tych opowieści domowych, o wielkim życiu ojczyzny naszej. Zrazu nie miałem tego na myśli, zajęty wyłącznie wnukami pragnąłem z serca, dać im poznać naszą historię w prawdziwym świetle; zatrzymać ich uwagę zadawalniając razem umysł i wyobraźnię młodą, ukazując im wypadki w sposób jasny i żywy. Każda historia a szczególnie Francji, jest obszernym dramatem. Tu wypadki wiążą się w łańcuch według praw określonych; aktorowie odgrywają w tym dramatcie role nie wyuczone naprzód, ale wynikające z ich położenia, a co więcej z własnej myśli i woli. Są w historii ludów dwie serie przyczyn, różnych, a przecież ściśle związanych z sobą: przyczyny naturalne, rządzące ogólnym biegiem wypadków i przyczyny

wynikające z wolnej woli człowieka. Ludzie nie tworzą całej historii, ma ona prawa dane z góry; ale w historii ludzie występują jako istoty wolne, działają w niej, wywierają wpływ, za który są odpowiedzialni. Na wiernym oddaniu tych dwóch żywiołów polega prawda i moralność tych opowiadań.

Aby osiągnąć cel zamierzony, starałem się zawsze snuć wątek moich uwag i opowieści, wkoło wielkich wypadków i wielkich postaci historycznych. Kto chce zbadać i opisać naukowo dany kraj, musi go przebiec wzdłuż i wszerz, zwiedzić w nim góry i płaszczyzny, wioski i miasta, ciemne zakąty i miejsca wsławione. Tak postępuje geolog, botanik, archeolog, statysta, erudyta. Ale kiedy pragniemy poznać główne zarysy okolicy, jej stałe granice, jej ogólny kształt, jej gościńce i ścieżki, wtedy wchodzimy na wyżyny, zkąd najlepiej ogarnąć okiem całość i fizjonomią kraju. Tak mamy postępować z historią, gdy nie chcemy sprowadzać jej do form suchego szkieletu, ani też rozwijać jej do wielkich rozmiarów pracy erudycyjnej. Wielkie wypadki, wielcy ludzie, stoją jak niewzruszone olbrzymy na wyżynach historii. Z owych tylko wyżyn można ogarnąć jej całość, i rozpoznać jej drogi."

Musimy przyznać że wyżyny z których dziś p. Guizot zapatraje się na dzieje Francji, wznioślejsze są niż te, z których patrzył przed czterdziestą laty, gdy oceniał cywilizację kraju swego. Ten zwrot myśli, w tak późnych latach, jest dowodem potężnego i pełnego żywotności talentu.

Stary Guizot dopatrzył dziś Gallów, których nie widział przed czterdziestu laty! było ich przecież z górą 6,000,000 na kilka wieków przed Chrystusem, jak to sam teraz przyznaje. Od niczego zaczyna historią dzisiejszych Francuzów. Nie wypowiada on tak jasno jak Henri Martin i Emil Chasles, iż żywioł galski jest kamieniem węgielnym cywilizacji francuskiej. Kto wie czy nie bojaźń wykazania słabej strony pierwszych dzieł, którym zawdzięcza taką sławę, wstrzymuje ośmdziesięcio-trzyletniego starca, od jawnego zaparcia się dawnych błędów. Poszanujmy jednak i ten śmiały zwrot na nową drogę, utworowaną przez młodszych niegdyś uczniów, dziś przewodników starego mistrza.

Nowe prace historyczne pp. Guizota, Henri Martin i Emila Chasles, są nam pobudką do zapytania: dlaczego to Francuzi tak późno zajęli się historią Gallów, kiedy tyle erudycji wyczerpali w badaniu historii, tak nielicznych zdobywców swoich Rzymian i Germanów? dlaczego my, przy całym niedostatku krytyki historycznej, stoimy wyżej od Francuzów pod względem zapatrywania się na dzieje nasze? Oto dlatego, że nasze dzieje prostszemu płynęły korytem: Dynastia Piasta wyszła z łona narodu, państwo utworzyło się z własnych żywiołów, wpływy obce grały tu rolę podrzędną. Przeciwnie rzecz się ma we Francji. Tu idea państwa, uformowała się pod naciskiem Rzymian, potem Germanów. Nic też dziwnego że pierwsi pisarze francuscy rodem Rzymianie albo Germani, zostawiali na boku podbitych Gallów, a opisywali

dzieje własne na ziemi galskiej. Następni pisarze kompilowali pierwszych; tak było w ciągu wieków. Pod takimto wpływem wychowany był i sam Guizot i jego współcześni. Nic też dziwnego że autor cywilizacji francuskiej, do żywiołów składających tę cywilizację, liczy tylko żywioł romańsko-pogański, germański i chrześcijański, z przepomnieniem rodzimego galskiego.

Jeżeli porównamy ostatnie prace historyczne pp. Guizota, H. Martin i Chasla, musimy oddać pierwszeństwo H. Martin. Uczony ten zaczął historią Gallów, od przypomnienia jedności ich plemiennej i cywilizacyjnej, śladami germańskimi, romańskimi i słowiańskimi w Azji. Nie rozszerza się on nad tą prawdą, ale samo to, że ją stawia jako kryterium w ocenieniu rozwoju historycznego tych plemion, aż do dni naszych, jest rzeczą nadzwyczaj wielkiej wagi. Samolubstwo narodowe i niechęć ku Germanom, nie zaślepiły znakomitego historyka.

H. Martin i E. Chasles zgadzają się z sobą, co do ważności mytów i tradycji narodowych, pierwszy z nich wskazał *ducha ofiary*, jako typ charakteru narodowego Gallów. Drugi widzi tenże typ w symbolu Herkulesa Ongiusza, to jest w *sile wymowy*. Obaj czerpali swoje poszukiwania w świadectwach greckich, pierwszym szło o znaczenie typu w życiu społecznym, drugiemu w literaturze, jak o tém pisaliśmy w dwóch poprzednich korespondencyach.

P. Guizot nie szuka u kolebki dziejów, tego ideału który ma na wieki przyświecać narodom i wskazywać im drogę przyszłości: przytacza on wprawdzie mytyczne podanie o założeniu Marsylii, lecz to podanie samo z siebie, acz ciekawe i piękne, nie ma takiej doniosłości, jak tradycje podjęte przez dwóch poprzednich badaczy. Oto podanie jak je opowiada p. Guizot.

„Euxen Grek z Focci, miasta Jońskiego w Azji Mniejszej puścił się na przygody po świecie, przybył aż do ujścia Rodanu. Galowie Segoborgi zajmowali sąsiednią okolicę. Nann ich wódz przyjął cudzoziemców z właściwą Gallom gościnnością, i zaprowadził ich do domu swego na ucztę, którą wyprawiał z powodu weselnych godów córki imieniem Giptis. Zwyczaj dziś jeszcze istniejący u Basków, a nawet Bretonów w Morwanie, wymagał aby dziewczyna ukazała się gościom dopiero w końcu uczy, z pełną w rękę czaszą i aby ten komu ją poda, stał się małżonkiem jej wyboru.

I otóż młoda Giptis, zatrzymała się przed Euxenem, i podała mu czaszę. Wielki był podziw Gallów, wielkie ich niezadowolenie. Ale stary Nann, widząc w tém wyraźną wolę bogów swoich, przyjął Foceczyka na zięcia i dał mu w posagu wybrzeże na którym wylądował, z okręgiem okolicznej ziemi. Wdzięczny Euxen nazwał młodą żonę imieniem greckim Arystoxeny, to jest najlepszej gospodyni. I wyprawił okręt swój do Focci, po nowych kolonistów, a zanim ci przybyli położył nad zatoką węgielny kamień miasta które nazwał Massalją”.

Guizot jest przykładem niezmordowanej pracy, przed kilką laty wydał swoje pamiętniki, jakoby ostatni testament, powtarzano

że się oddawna przeżył, że już w roku 1848 dał tego smutne dowody. Tymczasem oto po latach dwudziestu dwóch, widzimy znów Guizota jak pracuje w rozmaitym kierunku: to jako prezes towarzystwa historycznego, to znów jako prezes kommisji reform po szkołach, to jako czynny członek konsystorza ewangelickiego i jako niemniej czynny członek akademii francuskiej. Mnóstwo ma jeszcze zajęć publicznych i domowych, nie opuści nigdy lekcji syna w *Collège de France*, uczy małe wnuczęta, a obok tego wydaje i historią Francji! Oczywisty to dowód że umysł ludzki odradza się, i że praca umysłowa wielkim jest bodźcem do podobnego odrodzenia.

Od Guizota przejdźmy do jego współpracownika na polu tak politycznym jak i literackim, do niedawno zmarłego Villemaina. Donieśliśmy o śmierci jego, dziś czujemy się w obowiązku przypomnieć liczne a znakomite jego zasługi w literaturze. Jako professor Sorbony, minister oświecenia, наконец jako członek akademii francuskiej w ciągu blisko pół wieku, a stały jej sekretarz przez lat blisko czterdzieści, ośmdziesięcioletni Villemain miał i szerokie pole i długi czas do różnostronnego rozwinięcia wielkiej swej działalności i do zostawienia niezatartych śladów swego przejścia na ziemi. Godności jakie piastował, winien był jedynie niezinordowanej pracy.

Urodzony w Paryżu 1790 roku, był dzieckiem czasów wielkiej rewolucji, ale z tych czasów otrzymał tylko w spadku wychowanie wysoko klasyczne. Jego umysł skierowany z młodu ku literaturze, pozostał jej wiernym aż do ostatniej chwili. Sama nawet ułomność fizyczna, wpływała zapewne w wielkiej części na tak wyłączone zatopienie się w księgach.

W szkołach już Villemain odznaczał się zdolnością między towarzyszami. Mając lat dwanaście, umiał na pamięć Sofoklesa; uczniowie bowiem obyczajem tych czasów, odgrywali tragedye klasyczne między sobą. Ale jak się to niekiedy zdarza wyższym talentom, nie błyszczał on na popisach szkolnych. Znać należał do tych specjalistów, co od dzieciństwa skoncentrowane w jednej gałęzi nie umieją odpowiedzieć wymaganiom szkolnych programatów. W dwudziestym roku życia został już professorem *ver-syfikacyi łacińskiej i literatury francuskiej* w normalnej szkole. We dwa lata potem, akademia ukoronowała pierwszą jego pracę literacką: *pochwałę Montaigna*.

Rozprawa ta odznaczająca, się wytwornym językiem rozsławiała wkrótce imię młodego laureata. Uczeń i opiekunowie poczęli przygarniać go do siebie; hrabia Narbonne, sekretarz cesarski szczególni otoczył go względami. Wkrótce potem w roku 1813 cesarz Napoleon polecił mu napisanie pochwały pogrzebowej, na cześć poległego generała Duroc. Zaczem ją wygotował upadło cesarstwo.

Czasy restauracji najświetniejsze były dla Villemaina i zapewne najszcześniejsze w jego życiu. Mieszkał z matką którą czcił i kochał gorąco, a która nawzajem chlubiła się synem i najtkliwszą otaczała go opieką. Miłość ta rodzinna szczególnie rzucała urok na domowe ich progi.

Nowe dwie prace literackie *O znaczeniu krytyki* i *pochwała Montesquieu'go*, zjednały młodemu profesorowi nowe nagrody i wieńce; imię jego coraz świetniejszą połyaskało aureolą.

Po tylu latach przewrotów społecznych i politycznych, literatura, na długo płoszona hukiem dział, przyduszana kurząwą bitew poczęła nareszcie powstawać z czasowego omdlenia. Na widnokręgu paryżkim zabłyśły dawne gwiazdy: Chateaubriand, pani de Stael, Benjamin Constant; przy nich pojawiły się nowe, a między temi najświetniej zajaśniał Villemain. Porwany w wir literackich salonów, nie zaniedbał on przecież pracy. Atmosfera salonowa tak zabójcza dla wielu młodych talentów, korzystnie nawet oddziaływała na umysł wykarmiony silną nauką, oswobodziła go bowiem z pedantyzmu i rozwinęła w nim wrodzony dar wymowy.

Niebawem szersze pole otwiera się dla Villemaina. W roku 1816 otrzymuje katedrę w Sorbonie, najprzód jako pomocnik Guizota w wykładzie historii, nieco później na własną rękę katedrę literatury francuskiej. Tu rozpoczyna się chlubny okres dziesięciolétnich prac professorskich, któremi Villemain dobrze zasłużył się krajowi, rozszerzając koło krytycznych poglądów, torując niejako nowe drogi bliskiej odrodzenia literaturze.

Posłuchajmy co mówi jeden z uczniów professora, znany krytyk Ponmartin o tych świetnych kursach Sorbońskich:

„Villemain w swej katedrze, w owym kursie literatury steno-grafowanym z żywego słowa, a następnie publikowanym, ukazuje się w prawdziwym blasku stokroć wyżej niż jako pisarz. Tu występuje jako mówca oryginalny, wszechstronny, pełen barwy i ognia, porywający słuchaczy. Ci którzy mieli szczęście widzieć go i słyszeć, dziś jeszcze po czterdziestu latach przywołując na pamięć doznane wtedy wrażenia, czują w piersi mimowolny dreszcz zachwytu, i powtarzają z westchnieniem: „Dobre to były czasy!”

„Wyobraźmy sobie wielką salę Sorbony, pełną młodych chciwych wiedzy słuchaczy; pierwsze ławy zajmują najzdolniejsi uczniowie, wówczas jeszcze nie znani światu: Sainte Beuve, Alfred de Musset, Jouffroy, Merymeé, Nizard i tylu innych.

„Wechodzi mistrz. Mały, niekształtny, zaniedbany w odzieży, wstępuje na katedrę nierównym krokiem z pękiem książek i papierów pod pachą; głowa jego wychyla się niezgrabnie z pod wystających ramion, oko połykuje z pod gęstych rzęsów; usta składają się lekko do uśmiechu jak łuk z którego wnet posypną się strzały. Siada, zaczyna mówić! I oto nagle ta postać bezkształtna i szpetna pięknieje w oczach naszych. To czary! istne czary! Magnetyczna nie łączy mowę z audytoryum. Mówi. Głos jego na przemian słodki i śpiewny, to znów ostry i przenikliwy jak sztylet, odpowiada

harmonijnie znaczeniu wyrzuconych słów. Jakaż w nich rozmaitość, jakaż to gętkość niesłychana! jaka sztuka ukryta pod osłoną prostoty! Jak zgręczne cieniowanie! myśli migoczą jak błyskawice: perspektywa ogarnia coraz szerszy widnokrąg! Widzimy się nad brzegiem oceanu, podniesieni na szczyt opoki, z kądem oko nasze jednym rzutem ogarnia Francją i Anglią. Pociski czarodzieja furkoczą niby strzały, chwytamy je w przelocie, dopełniamy w duszy to co ledwie napomknął, zgadujemy to co przemilczał. Szczypta soli wystarczała naszemu podniebieniu, pieprz byłby nam wstrętny; Villemain też nie używał go wcale: dość mu było soli attyckiej."

W ciągu dziesięcioletnich kursów, znakomity professor przeistoczył do gruntu wykład literatury. Dotąd na wzór La Harpa, wykazywano dogmatycznie zalety i wady ocenianych utworów, Villemain tymczasem ukazywał nasamprzód autora, wnikał głęboko w jego myśl, przedstawiał go zawsze na tle wieku, rozbierając utwory w śmiałych rzutach kreślił życiorys pisarza, co więcej kreślił dzieje epoki pod której wpływem żył i pisał. Tę metodę dziś ogólnie przyjętą upowszechnił Villemain we Francji, to stanowi główną jego zasługę.

Akademia oceniła profesora, powołała go w progi swoje w r. 1821: miał wtedy lat dwadzieścia dziewięć. Obok wykładów literatury i licznych rozpraw akademickich, niezmordowany pracownik tworzył obszerne dzieła. Napisał *Historję Kromwela* w dwóch tomach, wkrótce po tém *Laskarisa*. Ostatnie szczególniejsze dzieło, napisane w czasach walki Greków o niepodległość, zajmowało żywo umysły. Przygody Laskarisa, tego młodego Greka który w XV wieku szukał przytułku w zachodniej Europie, przynosząc z sobą arcydzieła cywilizacyi z upadłej swej ojczyzny, przygody te musiały gorąco zajmować społeczność, przyklaskującą wysileniom Helenów. Rozrywano też dzieło Villemaina, równie jak Messenienny Delavigna, nazwano ją nie tylko dobrą książką, co więcej zacnym czynem.

Do uczonych prac autora z czasów Restauracyi, należy także przekład *Republiki Cycerona*, według rękopismu odkrytego wówczas właśnie we Włoszech przez Angelo Mai; pełna erudycyi rozprawa, pomieszczona w początku i uczone komentarze, wzbogacają ten znakomity przekład.

Rok 1830 rozpoczyna nową epokę w życiu Villemaina. Zasługi położone dla kraju, dały mu prawo do wysokich dostojęństw. Po gwałtownym przewrocie, nowi ludzie występują na widownię: obok Thiersa i Guizota pojawia się Villemain, godności syją się gradem na uczonego męża; widzimy go najprzód deputowanym, wkrótce potem parem Francji, prezesem rady wychowania publicznego, nakoniec ministrem oświecenia. Akademia ze swej strony mianuje go stałym sekretarzem.

Wyrwany z koła literackich prac, Villemain na drodze nowych zaszczytów znalazł nieznane mu troski i gorycze; podczas

jego powtórnego ministerstwa (1840—1844) wszczęły się zacięgłe spory pomiędzy duchowieństwem a uniwersytetem o wolność nauczania. Gwałtowna ta burza silnie oddziaływała na spokojny umysł uczonego. Villemain zachorował, w napadzie gorączki wyskoczył oknem; obawiano się pomieszanego, szczęściem obawy okazały się płonne. Potężny ten umysł po chwilowym szale gorączkowym przyszedł wkrótce do równowagi.

Oprócz wstrząśnień zewnętrznych, zgryzoty domowe zamąciły też bieg życia tak dotąd spokojny i szczęśliwy: młoda żona z którą Villemain żył zaledwie od lat kilku, dostała gwałtownego pomieszanego zmysłów. Zmuszony oddać ją do domu obłąkanych, osierocony w tymże czasie po drogiej sercu matce, pozostał sam jeden z trzema maleńkimi córkami.

W kilka lat nowym ciosem dla niego był upadek monarchii lipcowej. Odtąd odgrodził się niejako od świata stosami ksiąg i pargaminów z którymi przeżył ostatnie dni, od których nigdy bolesnego nie doznał zawodu. Jedynem jeszcze polem jego wystąpień bywały posiedzenia akademii. W długim dwudziestoletnim przeszło osamotnieniu, praca wytrwała codzienna, stała się dla niego tym drogocennym balsamem, co leczy krwawe rany, kołysze myśl nadzieją, wytrawia gorycz z serca, zaprawia życie słodyczą i spokojem.

Liczne też były plony tej pracy. Dość tu wspomnieć: *Badania nad literaturą starożytną*, *Obraz wymowy chrześcijańskiej w IV wieku*, *Studia nad historią nowożytną*, *Wspomnienia współczesne historyczno-literackie*, *Uwagi nad współczesną literaturą*, *Trybuna współczesna: Chateaubriand*, *Badania nad geniuszem Pindara i liryczną jego poezją*, że pominiemy mnóstwo raportów i rozpraw akademickich. Za koronę tych wszystkich prac można uważać *Rozprawę nad językiem francuskim*, zamieszczoną na czele słownika akademickiego.

W takichto pracach upływały ostatnie lata starca. Barki jego coraz to bardziej pochylały się do ziemi, cera jego coraz wydatniej przybierała ową barwę pargaminową, podobną do żółtkłej stronnicy starego foliału. Takim widzieliśmy go nieraz prezydującego publicznym zebraniom akademii. Ale w oku jego spostrzegaliśmy jeszcze tę iskrę błyskającą z pod ciemnej rzęsy, o której mówi jego uczeń; uważaliśmy ten uśmiech zaokrąglający półłukiem usta, lubo strzały nie miały już wybiedz z tego łuku. Na kilka tygodni przed śmiercią Villemain prezydował jeszcze za stołem akademickim w mundurze z zielonemi palmami.

Kilku zaledwie starych przyjaciół, mało przywilej odwiedzać go niekiedy. Do rzędu ich należał zasłużony Eichhoff członek instytutu. Z jegoto ust słyszeliśmy niektóre szczegóły z ostatnich lat życia zasłużonego starca. Cały pokój w którym pracował założony był stosami ksiąg i papierów; mnóstwo ich leżało na stolach, na krzesłach, nawet na ziemi. Rad jednak przybyciu miłych gości, Villemain usuwał je co żywo i z całą swobodą oddawał się przyjacielskiej pogadance.

Razu jednego Eichhoff przyszedłszy do Villemaina zszedł go na rozmowie z dawnym kolegą szkolnym, niegdyś jak on jednym z wzorowych uczniów, dziś jak on starcem ośmdziesięcioletnim. Był nim Firmin Didot, uczony księgarz i wydawca. Villemain wyrzucił Didotowi, że w wydany niedawno Słowniku biograficznym napisał o nim iż umie na pamięć całego Sofoklesa. Didot upierał się przy swoim; po długich sporach przyszło wreszcie do próby. Na usilną prośbę, począł Villemain powtarzać rolę Ullissea z tragedji Filoktety. W miejscach gdzie nowa osoba występuje na scenę przerywał mu Didot i tak w dwóch powtórzyli całą tragedję, nie pomyliwszy się ani razu. Eichhoff był zachwycony.

— Nie oddałbym tego widowiska mówić do nas, za wszystkie dzisiejsze dramata i komedye.

— Teatr godzien widza, a widz teatru—odrzekliśmy.

Czynny do ostatniej prawie chwili, a jednak przez lat kilka trawiony ciężką chorobą Villemain doznał tej wielkiej pociechy, że miał przy sobie nieodstępną córkę. Dwie młodsze poszły za mąż, najstarsza tylko poświęcona wyłącznie ojcu, czuwała nad nim jak anioł opiekuńczy. Wzorowy syn odebrał w niej zapłatę za tę gorącą miłość, jaką niegdyś miał dla własnej matki. Na czas krótki przed śmiercią, zupełnie prawie ociemniały znalazł w niej nową Antygone, stokroć wyższą od starożytniej. Kiedy tamta kierowała krokami ślepego Edypa, wspierając go krzepkiem ramieniem, ta sprowadzała w duszę ociemniałego ojca, żywy promień wiary i nadziei, sięgający po zakres ziemskich walk i zawodów. Słodkim jej wpływem uspokojony w duchu, skonał dnia 8 maja r. b. Nazajutrz po jego skonie, panna Villemain wstąpiła do zakonu sióstr miłosierdzia.

Szczególny wypadek zrządził, że Villemain urodzony wśród przewrotów społecznych roku 1790, zamknął oczy w sam dzień plebiscytu. Kiedy konał pośród ksiąg swoich, przy modlitwie córki, w pokoju wychodzącym na drugi dziedziniec pałacu akademickiego, w pierwszym dziedzińcu tymczasem w pośród zgiełku i wrzawy, odbywały się burzliwe głosowania: dziwnaż to sprzeczność! ten syn czasów rewolucyjnych był przecież człowiekiem cichłej pracy, miłośnikiem spokoju, pióro i słowo ściśle naukowe oto jedyny jego oręż.

Dr Felix Michałowski, oddawna zamieszkały we Francji, zyskał tu piękne imię, jak tego dowodzą godności: prezesa lekarzy i vice-prezesa towarzystwa rolniczego, departamentu Loary. Ważne stanowisko zajął także i między lingwistami. Ostatnia broszura jaką świeżo wydał: *Pierwiastki Celtyckie (Origines Celtiques)*, charakteryzuje dokładnie prace jego w dziedzinie lingwistyki. Rzecz o stosunkach starożytnych Słowian z Celtami, stanowiąca główną podstawę tych prac tak mało w ogólności znana, że każde ziarnko zebrane na tém polu, same nawet hipotezy stawiane przez ludzi nauki, do których należy Dr Michałowski, są prawdziwą zdobyczą.

Na poparcie swoich wniosków, p. Michałowski przytacza dowody, które powinny zwrócić uwagę wszystkich zajmujących się starożytną historią naszą. Dziś szczególnie, kiedy i my w starożytnościach szukamy odpowiedzi na liczne pytania, dotyczące historii nowszych czasów i rozwoju języka, spodziewamy się, że bliższe poznanie prac naszego lingwisty nie będzie obojętnym czytelnikom Biblioteki.

Posłuchajmy oto samego autora:

„Moim rodzinnym językiem—mówi p. M.—jest język Mickiewicza i Zaleskiego, lecz oddawna przebywam we Francyi. Najżywsza radość jakiej doznałem w mojej nowej ojczyźnie, była ta, kiedy w ludowem narzeczu w Forez, gdzie osiadłem w młodości, posłyszałem wyrazy znane mi od dzieciństwa.

Niektóre z nich cytuję jako przykład:

Ser zowią *sira* w departamencie Loary. Ponieważ ten ser po zeschnięciu staje się bardzo twardy, człowieka upartego z twarzą głową, przezwano tu *seran*.

Rzeszoto zowią *rejotta*.

Socha, *plug*, w narzeczu tutejszém *sochia*.

Tratew, belka, *trat*.

Siewier w języku słowiańskim oznacza północ; w Forez drobny śnieg zowią *sebera*, szron *siora sibera*, wiatr północny *sibere*.

Dornia, znaczy tu człowieka ograniczonego, po polsku *duweń*.

Climpe po forezku dziewczyna niechlujna; toż samo i w gminnej naszej mowie.

Drigna po forezku skakać, po polsku *drygać*.

Dryndula wstrząsać, po polsku *dryndać*.

Ebaudi znaczy *obulzić*.

Radissi rodzaj ciasta, *Radomiri* dziewczyna wesoła, jedno i drugie przypomina *radość*.

„Wybrałem z umysłu wyrazy proste gminne, nie używane w literaturze ani w handlu, a których fizygnomia słowiańska, nie ulega przecież zaprzeczeniu. Jaką drogą przywędrowały one z nad Wisły do Francyi. Nie mogły mnie przekonać uwagi jakie czyniono mi z uśmiechem powątpiewania, że te wyrazy są wpływem wspólnego początku wszystkich języków, lub że w czasach późniejszych przechodziły od sąsiednich do sąsiednich plemion. Niemcy przecież którzy nas oddzielają od Francyi, nie przedstawiają w języku takich podobieństw. Nie znalazłem raczej w tych chłopkach z nad Loary jakich krewnych nieznanymi, jakich braci zatraconych od dwudziestu albo trzydziestu wieków. Ileżby to rzeczy można tém wytłumaczyć!

„Skłaniałem pilnie ucho, szukałem jak mogłem, i oto we wszystkich stronach Francyi, z północy i z południa, od wschodu i zachodu, znajdowałem wszędzie w ludowych *gwarach* (patois), wyraźne ślady Słowianizmu, tém widoczniejsze tam, gdzie mniej dosięgały wpływy łaciny. To właśnie ostatnie spostrzeżenie wska-

zało mi drogę, gdzie mam skierować głównie moje badania. Potrzeba było sięgnąć w czasy które poprzedziły podbój rzymski, ponieważ Armoryka zachowuje dotąd starożytny język galski, powinienem być, jeśli słuszne są moje wnioski, znaleźć w Bretanii więcej wyrazów słowiańskich, niż w innych okolicach Francji.

Odczytałem od początku do końca słownik bretoński Legonideka, porównyując zawarte w nim wyrazy, z wyrazami wszystkich słowników tak słowiańskich jak innych, jakie mogłem znaleźć pod ręką. Po długich badaniach, przyszedłem do wniosku, że jeżeli oddzielimy w języku bretońskim żywioły nowe, to co pozostaje, nie może być uważane za język pierwotny (jak dziś uczą zarozumiale), jest to po prostu mieszanina słowiańskiego i cudzkiego języka”.

Oddawna już p. Michałowski zajmuje publiczność francuską, swemi pracami lingwistycznymi. Przed dwunastą laty przedstawił pierwszą swoją rozprawę Towarzystwu Naukowemu w St. Etienne. W r. 1861 ogłosił w rocznikach tegoż Towarzystwa, inną rozprawę p. t. *Le Slave et le Breton*, do której dołączył przekład litery B ze słownika Legonideka. W r. 1862, na kongresie naukowym francuskim czytał trzecią rozprawę p. t. *Uwagi nad najstarożytniejszym językiem we Francji*. Do wydanej obecnie dołączył przekład z Legonideka litery L.

Praca ta mała co do objętości, bardzo jest zajmującą. Owoc to długoletnich i wytrwałych badań. Przeczytać i porównać słowniki chociażby dziesięciu języków! na to potrzeba szczególnego zamilowania, Benedyktyńskiej cierpliwości! Dodajmy że prace tego rodzaju, tém niewdzięczniejsze, iż mało kto potrafi je ocenić. Pan Michałowski pracuje sam jeden na polu jakie obrał.

Porównania naszego lingwisty, nie oparte są tylko na słowniarskiem podobieństwie wyrazów; porównywa on także języki podług ich składni. Mała próbka jaką udzielił publiczności, jest podług nas ważniejszą jeszcze, od poszukiwań tyczących się tylko pojedynczych wyrazów. Jeśliby głos nasz doszedł do autora, prosilibyśmy go aby szerzej rozwinął przekłady dotyczące składni gramatycznej porównywanych języków; same bowiem wyrazy oddzielnie wzięte, mogą wprowadzić w wielki błąd. Pan Michałowski naprzykład utrzymuje że język Gallów był mieszaniną słowiańskiego i cudzkiego. Już Lelewel tłumaczył językiem cudzkim niektóre nazwy miejscowości północnej Europy, zapisane u starożytnych. Antropologia udowodniła, że przed przybyciem Aryów czyli rolników, Europa była zaludnioną przez nieliczne pokolenia cudzkie lub ogólnie mówiąc turańskie. Dowody tego pokazują lingwiści z swojej strony. Trudno przecież utrzymywać, jakoby ten wpływ cudzki miał się równoważyć z wpływem aryjskim, w rozwoju dzisiejszej cywilizacji europejskiej. Składnia języka celtyckiego jest czysto aryjską.

Niektóre spostrzeżenia p. Michałowskiego, mogą rzucić nowe światło na historję ludów Europy, w niezmiernie odległej staro-

żytności. Wiadomo, że nasz wyraz *olbrzym*, przypomina plemie galskie Ombronów, którzy z Bojami, Batonami i innymi pokoleniami, rzucili się na Rzym, na Illyryą, i na kraje przykarpackie.

P. Michałowski ciekawo podaje szczegół, że w Bourbonnais, mianowicie w okolicach Palisse i Donjon, istnieją mogiły podobne ukraińskim. Lud miejscowy powtarza tradycją, że te mogiły sypali jacyś przybysze zwani *Polakrs*. Tu, końcowa litera r, jest wtrętem podług p. Michałowskiego. Czemużby nie przypuścić napadu Lechów polanów na Galią, kiedy mamy dowody że Lechici przeprawiali się aż do Anglii w II i IV wieku ery naszej? jak o tém mówi obszernie Szafarzyk w drugiej części swych starożytności słowiańskich, w historii Lechów, Wellesów, czyli Wilków.

Rzecz godna uwagi, że w głębi Francji znajdują się wyrazy przypominające Tatarów, którzy przecież nie postali tam w czasach pamiętnego wylewu ich na Europę. Tak np. Auverniacy zwolując trzodę chlewną powtarzają *Tatar! Tatar!*. Choroba prosiąt, wyrzuty na dziąsłach, zowie się *Tat*, robactwo *Tatareiza* i t. p. Zkąd tu owo przypomnienie Tatarów? Zkąd u nas w Prawdzie Ruskiej wyraz *Tat* znaczy złodziej, kiedy Tatarzy pokazali się dopiero w wieku XIII? Pan Michałowski słuszną robi uwagę, że nawet wyraz *Tartar* w znaczeniu piekła u Greków, jest przypomnieniem Tatarów. Są to niezawodnie echa z czasów przedhistorycznej starożytności, kiedy Gallowie, Germanie, Grecy i Słowianie, połączeni jeszcze w Azji walczyli przeciw turańskim nomadom. Dziś badania lingwistyczne połączone z etnograficznymi i historycznymi, pozwalają wyprowadzać podobne wnioski, zostawiając czasowi dokładniejsze ich wyjaśnienie. Ale z jakąż ostrożnością przystępować należy do tych badań!

Aby uniknąć błędów, w oznaczeniu pokrewieństwa między ludami na prawie języków, potrzeba oceniać je pod pięcioma względami: materji wyrazów, składni, efonii, charakteru cywilizacyi, i tradycyji historycznych. Przepomnienie teji zasady, uważanie języka pod jednym tylko względem, jest bardzo niebezpieczne. Oceniające języków słowiańskich, Dobrowski, Szafarzyk i ich uczniowie, dopuścili się właśnie wielkich zboczeń opierając stopnie pokrewieństwa, na materji wyrazów i na składni, kiedy opuścili trzy inne działacze nierównie ważniejsze.

W rzeczy samėj w rozróżnieniu plemion, eufonia większe ma znaczenie niż materja wyrazów i składnia. P. Michałowski wie najlepiej, iż wszyscy Gallowie z wyjątkiem Bretonów, przyjęli język łaciński. Wiele na to potrzeba było wieków. Na zmianę zaś organów mownych i wieku nie wystarczą, zwłaszcza gdy naród pozostaje w miejscu. Zapewne, trudno określić tę harmonią dźwięków, którą zwiemy efonią, ale lingwista nie powinien pomijać tego żywiołu krytycznego. Jeżeli zaś nie ma dosyć danych, aby z dźwięków mowy oznaczyć plemienność, to przynajmniej nie ma prawa wyrokować o niej, z samėj materji wyrazów, a nawet i ze składni.

Co do języków uważanych pod względem charakteru cywilizacji, jest to punkt krytyczny nadzwyczaj wielkiej wagi, tak wielkiej jak i sama cywilizacja, w oznaczeniu pokrewieństw między narodami. W miarę rozwoju cywilizacji urabiają się i wyrazy, odpowiednie jej potrzebom. Narody mogą zmieniać języki, przyjmować obcą mowę, ale z tej mowy przyswojonej, wyrzucają wyrazy nie odpowiednie ich pojęciom, a najczęściej przekształcają znaczenie przyjętych wyrazów, i nadają językowi nowy ton.

A cóż dopiero powiedzieć o znaczeniu podań historycznych, w ocenieniu pokrewieństw między narodami, podań których język jest drogą skarbnicą! Szafarzyk w początku pierwszego tomu swych *Starożytności* uczy, że tradycje historyczne są najwyższym prawdomierzem w ocenieniu stopni tychże pokrewieństw. Nie zastosował on swojej teorii jak należało, i ztąd popełnił wielkie błędy; ale przed laty trzydziestą lingwistyka nie była tak różnostronnie jak dziś uprawianą.

Porównywania wyrazów, nawet składni, na takie narażają niebezpieczeństwa, że p. Michałowski nie weźmie nam za złe powyższych uwag. Jego to poważna praca, zwróciła baczność naszą na ogólny stan lingwistyki polskiej i na jej potrzeby.

Przyjęcie każdego członka do akademii francuskiej, stanowi tu bardzo ważną chwilę. Wszystkie warstwy społeczeństwa, wszyscy uczeni specjaliści w różnych gałęziach nauk, spieszą przyjąć udział w uroczystości. Nie ma w tém nic dziwnego: akademія z obowiązku zajmuje się językiem i literaturą. Wprawdzie niektórzy uczeni po za jej obrybem, więcej uczynili dla języka francuskiego, aniżeli to ciało uprzywilejowane; wielu z pisarzy nie akademików, daleko więcej wpłynęło na literaturę, aniżeli nie jeden z czterdziestu nieśmiertelnych. To przecież pewna, że akademія przechowuje tradycję piękną w literaturze, iż strzeże pewnych praw, które jeśli z jednej strony ograniczają wolność, z drugiej znów bronią od zbyt śmiałego nowatorstwa.

Przy każdym przyjęciu, akademія w imieniu intelligencji narodowej, odbywa niejako spowiedź z długiej epoki obejmującej prace zmarłego i nowo wprowadzonego członka. Ponieważ mówcami są tu ludzie wysokiej nauki, miłujący literaturę, ztąd pogląd ich na rzeczy i na osoby, jest różnostronny, podniosły, nauczający.

Nie mówimy wcale aby akademія francuska wolną była od przesądów i ducha stronniczego. Wiadomo wszystkim, że odtrąciła nieraz od progów swoich, mężów prawdziwej zasługi i talentu, dla przyjęcia mniej zasłużonych i mniej utalentowanych. Polityka ważną w tém odgrywa rolę. Nie przeszkadza to jednak głównej zasadzie, bo takie nadużycia nie mogą się zawsze powtarzać; zresztą akademія musi się liczyć także i z opinią publiczną, tak silną we Francji.

Ta opinia dziś objawia się w sposób bardzo nieprzychylny dla uczonego zgromadzenia, a to z powodu że przeważała w nim jedna partya polityczna, co daje się czuć szczególnie przy wyborach. Ogół zarzuca i słusznie, że zamiast pilnować wydawnictwa Słownika, akademія mięsza się na zewnątrz w walki stronnictwa, a wewnątrz zabawia się często czężą dyalektyką, przypominającą czasy alexandryjskich retorów. Łatwo pojąć że taka dyalektyka musi wywoływać odrazę, w obec życia tak silnie bijącego we Francyi.

W ciągu upłynionego miesiąca odbyło się przyjęcie znanego poety p. Barbier; charakter tego przyjęcia wywołał właśnie powyższe uwagi. Wprowadzał nowego członka p. Saę dyrektor akademii. P. Barbier zajął krzesło zmarłego akademika Empis. W zręcznej mowie podniósł zasługi poprzednika na polu dramatyczném. Empis był przedewszystkiem pisarzem surowej moralności. Nie szukać w nim ani wyborowej krasy języka, ani uroczych kwiatów poezyi. Zacięty wróg zasady: *sztuka dla sztuki*, gonił zawsze za wzniosłym celem, śledził niejako pulsacyę społeczeństwa, i na każde dopatrzone złe, podawał gorzkie lecz skuteczne lekarstwo. Ażeby zrozumieć doniosłość prac Empisa, potrzeba przypomnieć sobie czasy Ludwika Filipa. W skutek poprzednich wstrząśnień, czasy to były bardzo smutne! Materyalizm opanował literaturę kryjąc się płaszczem wolności i romantyzmu! Ludzie wyższych pojęć rozpaczliwem okiem poglądali na ten prąd rozsadzający społeczne podwaliny. Akademia przyjęła Empisa, chcąc tém samém zaprotestować przeciw skrzywionym dążnościom wielu wyższych talentów.

Z téj to strony ocenik p. Barbier zasługi poprzednika swego. Odpowiedź p. Saę, w formie więcej akademicka, przykre na słuchaczach sprawiła wrażenie. Trzeba wiedzieć, że poeta ciernistą drogą wchodził do akademii. Współzawodnik jego Teofil Gautier otrzymał tylko kilka głosów mniej, liczni stronnicy tego ostatniego niechętnem okiem patrzyli na tryumf przeciwnika. Skutkiem ich tajemnych zabiegów, p. Barbier, lubo wybrany, musiał długo czekać na krzesło. W rok dopiero po nominacyi, akademія przyjęła go uroczyście. Dzienniki szydziły nielitościwie z takiej zwłoki.

Nie dosyć jeszcze na tém. P. Saę jak widać niechętny nowemu przybyszowi, dał to dotkliwie uczuć w mowie swojej... Nasadził ją mnóstwem delikatnych śpileczek, bolesnych zapewne dla tego, przeciw komu były wymierzone, a i niemniej przykre dla ogółu słuchaczów.

Subtelny retor tak naostrzył swoje śpileczki, że kłótł niemi nie samego tylko poetę, ale i zmarłego poprzednika. Podnosząc nibyto dramatyczne utwory p. Empis, wyznaje że nie był nigdy na przedstawieniu żadnej jego sztuki. Czytał wprawdzie z *obowiązku* owe komedye i dramata, ale, jak mówi, czytanie tego rodzaju utworów, nie podniesione grą artysty, niebezpieczną jest próbą dla au-

tora, jeśli nie jest Kornelem, Rasynem lub Molierem. Ubliżyłbym, dodaje, pamięci skromnego p. Empis, gdybym stawiał jego imię, *po imionach tych wielkich mistrzów*.

Głębię p. Saę zapuszczał swoje żądelka w miłość własną akademika, którego zmuszony był przyjmować. Powtarzamy kilka ustępów z tej mowy, aby dać próbkę dyalektyki nowoczesnych retorów.

„Akademia—mówi on—potrzebowała poety, któryby zastąpił p. Empis i wybrała pana. Jedno słowo usprawiedliwia ten wybór: jesteś pan autorem Jambów, dość na tém. Szczególnym trafem losu, tytuł pierwszej i najznakomitszej z twych produkcji poetycznych, zastąpił twe imię osobiste. Mało kto wie o p. Barbier,—autora Jambów wszyscy znają. Tak zniknęły nazwiska naszych dawnych marszałków pod nowemi, jakie im nadano od miesca ich zwycięstw i chwały.

Czterdzieści lat ubiegło od dnia, w którym pojawił się pierwszy z twych utworów satyryczno-politycznych, sławna *Curée* (Zerowisko). Było to nazajutrz po rewolucyi lipcowej, w tej smutnej chwili, kiedy massy podniecone widokiem łupu, rzucają się nań z zjadłością. Na widok tych wyciągniętych rąk, po większej części nie uczernionych w prochu, młodzieńcze twoje oburzenie wybuchnęło gwałtownym wierszem, który został w pamięci wszystkich. Słońce lipcowe nie tak paliło jak twe słowa. Naiwne serce twoje szukało w tłumach poświęcenia i zapału. Byłeś Tyrteuszem r. 1830, jak Andrzej Chenier był nim w 1789 roku. Jak on, potrąciłeś o ciężkie zawody, dzięki Bogu mniej przecież okrutne niż te, jakie on spotkał. Mogłeś opiewać twoje do woli, i dodać nie jedną Jambę, do pierwszego wykrzyku uniesienia i grozy. Andrzej Chenier tymczasem, ledwie że mógł wyśpiewać kilka nieśmiertelnych zwrotek u stóp gilotyny, zaczęła ta upadła mu na głowę.

Jakkolwiekbyś, jednym pióra zamachem stworzył pan nowy rodzaj poezyi: satyrę ludową czyli demokratyczną, a zarazem stworzył język jakiego ten rodzaj wymagał, język prawdziwie nowy, nie pod względem słów, ale raczej pod względem silnego i zuchwałego zastosowania wyrazów wydobytych żywcem z *ust gminu*. W miarę jak wzbierał prąd rozhułkanych namiętności, jak znikwały twoje młodzieńcze złudzenia, w obec powodzi skażonych doktryn, w obec idei podkopujących społeczeństwo, i rozprzegających obyczaje tego ludu tak wielkiego w oczach twoich, gniew zakiepał w twej duszy. Wyrzucałeś z niej gorycz w coraz to nowych Jambach. Nie przebaczałeś złemu, biczem satyry chłostałeś wszelki skandal, tak skandal uliczny jak niemniej salonowy i przedpokojowy. Nie szczędziłeś nikogo, nawet tego ludu niedawno apoteozowanego przez ciebie. Mściwa twoja muza poniosła lirę na te zapowietrzzone wybrzeża, których sam widok odstraszyłby muzę delikatniejszą. Twoja muza i maluje i opiewa. Kto cię nie czytał,

ten może i nie wie w jak ohydny steku namiętności, geniusz ztego staczał tę biedną ludzkość naznaczoną na czole piętnem Bożem!

Czytano cię jednak! sypano ci poklaski. Czytano cię tak pilnie, a słowa twoje tak głęboko wryły się w pamięć, że dziś jeszcze ogół został przy twoich Jambach, a ciebie panie uważa jako człowieka dawno umarłego dla poezyi. „Tak już dawno nic nie utworzył!” powtarzano przy nominacyi. Zacięci i uporczywi wielbiciel Jamb, za nic mają późniejsze pieśni twoje, nacechowane delikatniejszym smakiem, które ukazują w nowym świetle twój talent poetyczny. Niczem dla nich owe *ulotne rymy*, najmiłsze z publikacyj twoich, przedstawiające cię *niespodziewanie w postaci przyjemnego i czulego epikurejczyka*.

Dwa poemata przecież ogłoszone po Jambach, *Il pianto* i *Lazare*, wypłynęły zwycięzko z powodzi tylu niedopatrzonych utworów. Są to owoce dwóch podróży. *Il pianto*, jestto jęk nad dolą tych Włoch, tak uprzywilejowanych pod względem klimatu i słońca, tak sławnych w historii sztuki i imionami Rafaelów i Buonarotich!

Obraz nędzy ludu angielskiego, to przedmiot drugiego poematu. Ktoby nie poznał autora Jamb w tych wierszach, jakby tryskających z pod gorącego młota?

Charakter pisarza a szczególnie poety, maluje się zawsze w jego dziełach. W Jambach uderza mnie otwartość i niepodległość ducha. Otwartość widzę w tém, że nie poprawiasz nowym wierszem tych, które wyrwały się same z pod pióra, pod wpływem gorączkowej podnieci, choćby te wiersze przechodziły nawet miarę uczuć twoich. Znalazłbym w twych dziełach liczne dowody téj otwartości. Jaka szkoda, że niepodobna mi odczytać na głos w obec takiego jak to zgromadzenia, owych licznych urywków, które z mimowolnym pociąganiem czyta się pocichu, sam na sam.

Wiersz mój szorstki i gruby uczciwym jest w gruncie!

Temi to słowy, zakończyłeś panie prolog do twoich Jambów. Forma, któż nie wie o tém, pozwala na wiele: czy *grunt* rzeczy ma ten przywilej? zobaczmy!... zdobądźmy się tylko na odwagę!...

Wolność, mówisz pan w pierwszej satyrze twojej: *Curée...*

Wolność, to nie hrabina dostojnego rodu,
Jak te panie z przedmieścia świętego Germana,
Co słabnie i omdlewa z błażego powodu,
Na licach wybielona i poróżowana:
Ha, to krzepka niewiasta!...

Tu pan dyrektor przerwał nagle, spuścił oczy jakby ze wstydu, i jak z procy przeskoczył do ostatniego wiersza:

Lica jój śniade, krok przyśpieszony,
Płomieniem oko błyska z pod brwi,

Da się uściśnąć tylko ramiony,
Gdy ubroczone w czerwoną krew!

„Taka wolność—zawołał p. Saćy—nie jest moją, ani téż twoją panie! Przez omyłkę łatwą do wytłumaczenia w czasie kiedy pisałeś, w myśli twojej była rewolucya, gdy z pod pióra wybiegła wolność!

„A teraz wykażę dowód niepodległości ducha twego. Podo-
bało ci się—było to w r. 1831—uderzyć gromem kłatwy w postać
wielkiego olbrzyma czasów nowoczesnych, w postać opiewaną przez
najpopularniejszych poetów, w postać Napoleona! Satyra twoja
Bożyszcze (Idole) więcej może porywa niż inne; w żadnej nie
okazałeś tyle poetycznej werwy: rzekłby kto, że słowa buchają
same z duszy twojej, jak gorąca lava wulkanu. A więc muszę ci
oddać słusność, tę słusność której serce poety nie powinno było
odmawiać wygnańcowi z św. Heleny, gdyby nawet serce obywatela
wylało się z praw wdzięczności dla bohatera Austerlitz, Wagram
i Marengo! Tak jest, oddaję ci słusność! Byłeś okrutny i gwał-
towny w namiętnych pociskach twoich, lecz okazałeś odwagę i nie-
podległość, rzucając wbrew ziomkom opinią, raniącą wtedy uczu-
cia narodowe w sposób najdotkliwszy. Francya wiele przebaczy
w obec chwały,—wszystko przebaczy w obec nieszczęścia! Szla-
chetna *Klacz*, że użyję poetycznego twego porównania, widząc
powalonym na ziemię tego, który ją widł do tyłu zwycięstw,
stała ze spuszczoną smutno głową, i niepamiętna stoczonej krwi
i stoczonego potu, roniła nad pokonanym bohaterem te wielkie
łzy, które Wirgilli tak wybornie odmalował.”

Opuszczamy wiele innych kolących ustępów z mowy p. Saćy,
przytaczamy tylko jęj zakończenie, jako próbkę owęj retorycznej
dialektyki co chwilę cukrującej gorzką pigułkę.

„Podajmy sobie rękę; sprawa między nami skończona. Miłość
literatury usposabia serca do jedności i zgody. Żywo ja oceniam
twą poetyczną zdolność. Należysz do rodu Juvenalisów, Gilbertów
i nieśmiertelnych Chenierów. Nikt zapewne szukając w wiejskiej
ciszy spokojnego wytchnienia, nie zabierze z sobą Jambów twoich,
jak zabiera Horacego i Lamartina. Nikt nie będzie ich czytał
w kole rodziny przy ognisku, nie czerpnie z nich pociechy w dniu
boleści. Ludzie czytać je będą aby utwierdzić się w dobrém, bu-
dząc w sobie odrazę ku złemu. Książek tego rodzaju nie wiele
nam potrzeba; choć i te potrzebne w małej liczbie. Twoja, po-
trzebną była w czasie kiedy ją ogłosiłeś. Ona to od dawnych
lat natchnęła mi dla ciebie panie wysoki szacunek. W nowych
stosunkach koleżeństwa, do szacunku przyłączyło się prawdziwe
uczucie; a dzień w którym mam zaszczyt przyjmować cię w imieniu
akademii, zostanie bezwątpienia w mojej pamięci jako jeden z naj-
milszych w życiu!”

Te słowa ostatnie prawdziwém są urągówiskiem: przez taki
to ogień czyscowy wszedł poeta w grono nieśmiertelnych!

Dlaczego to pan Dyrektor cytując z taką ironią wiersze, których dokończyć nie śmie w obec świetnego zgromadzenia, dlaczego to pytamy nie uwydatnił według ich wartości tych poematów Barbiera, które tchną duchem wysoko chrześcijańskim, rodzinnym i obywatelskim, jak: *Pieśni cywilne i religijne*, *Ody*, *Syhy* i t. p. Łatwo to odgadnąć. P. Barbier nie jest wprawdzie Napoleonistą, ale pomiędzy panem Saćy a autorem Jambów, stoi *pot de vin*, satyra wymierzona przeciw rządowi Ludwika Filipa. Ta to satyra sprawiła, że Barbier stał przeszło rok u zawartych bram akademii, które nie chciały się przed nim otworzyć, lubo już był zaproszonym do uczonego grona, dzięki zabiegom dwóch przyjaciół: Laprada i Légouwego.

Barbier jest niewątpliwie jednym z pierwszych żyjących dziś poetów we Francji. Wiersz jego niesłychaną ma siłę. Mnóstwo ustępów z Jamb, i innych poematów, Francuzi umieją napamięć. W tym roku wyszły *Jamby i poemata*, w dwudziestym pierwszym wydaniu, co samo przez się przemawia już o ich popularności. Pod nazwą Jamb podciągnął poeta wszystkie utwory satyryczne, w których przemaga liryzm. W tym odstąpił od klasycznej formy greckiej, która wymaga w Jambach wierszy 12 i 8 zgłoskowych, przeplatanych naprzemian.

Dołączamy w przekładzie trzy ustępy z pomatu *Lazare*. Poeta podejmuje w nim sprawę ludu angielskiego, pogrążonego w nędzy i ciemnocie, gnębionego pracą nad siły. Każdy ustęp tworzy osobną całość.

L O N D Y N.

Niezmierzona to przestrzeń, skrzydelby nie stało
 Jaskółce, by przez dobę przelecieć ją całą.
 Zdaleka, niby opok granitowe złomy,
 Widzisz gmachy, pałace, pomniki i domy:
 Znać wieki je bez ładu naniosły w stolicę.
 Górą sterczą kominy, przemysłu dzwonnice,
 Z paszczą wiecznie rozwartą... szeroko, przez którą
 Z gorącego kadłuba dym wali się chmurą.
 Widzisz strzały gotyckie jak w niebo wybiegły
 Przez tumany mgły szarą po nad góry z cegły;
 I tę rzekę falistą co swe brudne męty
 Przetacza wśród pagórków bystrzemi zakręty:
 Straszna, jak Styx piekielny; czy widzisz, brzeg z brzegiem
 Łączą mosty na palach olbrzymim szeregiem,
 Jak Rodyjskie kolosy; pod łuk ich w swobodzie
 Wpływają lasem masztów okręty i łodzie.
 W świat roznosi szeroki ta fala cuchnąca
 Płody pracy wytrwałej narodów tysiąca.
 Widzisz one warsztaty i sklepy, co chłoną
 Wszystkie ziemi bogactwa w swe potworne łono;

Widzisz, jak na tém niebie kłęby chmur się kupią,
Jak słońce na świat patrzy ztąd źrenicą trupią,
Lub strutemi wyziewy zasnute w około
Wychyla z pod całuna chorobliwe czoło.
Widzisz, jak w tym szalonym ziemskich brudów steku,
Zwolna iskra płomienna zagasa w człowieku,
Tłum zanurzon w ciemnocie złych popędów słucha,
Garścią chwyta za złoto, a zatracą ducha!

GÓRNICY Z NEWCASTLE.

Niech drudzy swobodnie na jasnym gór szczycie
Powiewy czystemi pierś poją w zachwycie,
Niech czoło im słodkim spokojem tchnie;
Niech wiatr im pomyślnie dmie w żagiel wydęty,
I niesie ich lekko przez gorzkie odměty,
I błogo w uroczym kołysze śnie.

Niech drudzy porankiem wesóło zbudzeni
Napoją wzrok blaskiem złocistych promieni,
Gdy słońce oblicze otrząśnie z chmur;
Niech drudzy pod cieniem domowej zagrody
Swobodnie pracują na łonie przyrody,
Gdy śpiewny skowronków gwarzy im chór.

Oh! lekko szczęśliwym snuć wątek żywota,
Gdy gwiazda z kołyski przyświeca im złota,
Pod stopą gdy wonny rośnie im kwiat!
Snać z ręki ojcowskiej co ziemię obdziela
W całuny żałoby i wieńce wesela,
Puścizną wybranym dział dobry padł.

Nam brodzić przypadło w ciemnościach bez końca,
I nigdy promyczek nie padnie nam słońca,
I wleczm dni smętne wśród ciężkich prób;
Bo ledwieśmy stopą stanęli na ziemi
Ztroczyła nas nędza powrósty twardemi
I żywcem w ohydny wtrąciła grób.

Wielkiego narodu górnicy niestety!
Po norach wilgotnych my żyjem jak krety,
Żelaznej motyki nie puścim z rąk,
I wiecznie gdy węgiel kruszymy nią czarny,
Niesyta śmierć łupu jak puszczyk cmentarny
Nad głowy naszemi ulata w krąg.

O! biada młodemu, gdy ufny jak dziecko
O kamień się wesprze, a kamień zdradziecko
 Poniesie go w czarne przepaści dno;
O! biada starcowi z niepewnym już krokiem,
Gdy woda gwałtownym wybuchnie potokiem
 I powódź na wieki pochłonie go!

O! biada śmiałkowi co w żywym tym grobie
Zbawczego kagańca nie znajdzie przy sobie,
 By duchów nieczystych zażegnać gniew;
Bo nie śpi tam szatan w tej strasznej pomroczy,
Wnet siną mu parą zaświeci przed oczy
 I w żyłach kipiącą zamrozi krew.

O! biada nam wszystkim w tym czarnym odmiecie,
Choć człowiek wypełnia powinność swą święcie,
 Godziny on jednej nie pewien tu!
Stanęło mu w myśli dzieciątko i żona,
Wtém młotu odgłosem opoka strącona
 Znienacka na głowę runęła ma!

My przecież to biedni, my cienie milczące,
Wzruszamy tajemnie tych sprężyn tysiące,
 Co ludzkość niebawem pchną w nowy tór;
Potężny przemysle! w postępu to imię
Wprawiamy w ruch twoje rainiona olbrzymie,
 Tym skarbem z podziemnych dobytym nór.

Nasz węgiel w kotliskach porusza te wary,
Nim party parowóz w dalekie obszary
 Po szynach jak lotny pomyka ptak;
Nasz węgiel twe statki po morzach tak pędzi,
Że rychło Albionie na świata krawędzi,
 Ukażą się barwy twych pysznych flag.

Nie naszém-że dziełem on blask twój korony,
Że przed nią świat czołem uderza zdumiony,
 Nie nasz-że to z ziemi wydobył trud,
On węgiel, co hojnie tnie złote pokosy
Tym lordom zuchwałym, gdy nagi i bosi
 Robotnik bez chleba mrze u ich wrót.

Do sądu Twojego wołamy téż Panie!
Nie o to byś rozwarł bezrządu otchłanianie
 I szlaki krwawemi pchnął stary świat;
Z wielkimi do rady nie zasiąść nam społem,
Niech oni ten ciężar dźwigają z mozołem
 Jaki im z Twój woli na barki padł.

Blagamy Cię tylko my syny niedoli,
 Ty łaski Twój cudem, zmiekczy Panie powoli
 Te serca nieludzkie, twarde jak gład;
 Niech prawda im błysnie przez tuman mgły bladej;
 Ze skoro zbutwieją świątyni posady,
 Gmach runie, wszystkich przytłoczy wraz!

W Z G Ó R Z A E R Y N U

W dniu gdym pożegnał moich ojców ziemię,
 Wzgórków Erynu czarodziejski cień,
 Na pierś tęsknoty upadło mi brzemię,
 Gdzież tych ożywczych zaczerpnąć już technień?
 Wszystko tam cudne i on strumyk wązki
 Co skrapia łakę przez szczeliny skał,
 Rosa, co srebrzy rankiem drzew gałązki
 Tychżebych czarów ja przepomnieć miał!

Przecież my biedni półnago i boso
 Na pomost hurmem tłoczymy się wraz,
 Niech okręt fale daleko poniosą,
 Tam lepsza dola może spotka nas.
 Nędza tu nasze opustosza ściany,
 Tu głód nas morzy w pośród własnych pól,
 W mróz nam odzieżą dziurawe łachmany
 Których angielski nie doniszczył mól.

Czemuż to drudzy plon jedzą bogaty
 Z posiewów naszych gdy my cierpim głód?
 Dlaczego drudzy tkają miękkie szaty
 Z bieluchnej wełny naszych licznych trzód.
 Ziemiaż-li matka mlekiem nie wyżywi
 Działwy zrodzonej z krwi jej własnych żył?
 Z obcego łona czemu nieszczęśliwi
 Musim do życia czerpnąć nowych sił?

Dawno wiatr zbudzon pod złowrogą gwiazdą,
 Pcha nasze łodzie wśród bezbrzeżnych mórz,
 Dawno grom bije w nasze stare gniazdo
 Czyniąc tę ziemię krajem wiecznych burz!
 Gniew i pogarda niby grad szalony
 W te żyzne pola wiecznie tną a tną,
 Miałżeby w końcu nasz Eryn zielony
 Stoczyć się w chłodne oceanu dno?

Szczęśliwe trzody! dla was koniczyny
 Kwitną w rozdołach u stóp naszych gór,

W cienistych lasach szczęśliwe ptaszyny,
 O rannéj rosie wam zawodzić chór!
 Z łąki skoszonej woń siana tam bucha
 Z trawą kryniczny pogwarza tam zdroj,
 Nad wodą kwitnie szczawik i rzeżucha:
 Jak cię zapomnieć ach Erynie mój!

Rok ten pomyślny był dla Teatru francuzkiego. Po świetném wystąpieniu Manuela z dramacikiem *Robotnicy*, który przyjmowany z gorącym zawsze poklaskiem, doczekał się jakich sta przedstawień, rozległy się w tych dniach o ściany tegoż teatru, imiona dwóch nieznanych dotąd autorów: pp. Amiques i Desboutin. Wystąpili oni z wielkim historycznym dramatem w pięciu aktach, osnutym na romantycznych przygodach marszałka Francyi Maurycego Saskiego.

Jeden z autorów p. Amiques ceniony jako dziennikarz, nie dał się dotąd wcale poznać jako poeta. Drugi p. Desboutin, zamieszkały od kilku lat we Florenyi, pracuje na polu artystyczném, zajmując się na przemian pędzlem albo rylcem. Sądziemy że ten ostatni jest rzeczywistym autorem dramatu. P. Amiques lepiej może obznajmiony z tajemnicami dzieł teatralnych, dopomógł mu zapewne w układzie scen, i ztąd położył imię swoje przy imieniu poety. Jest to nasz domysk; opieramy go na tém, że utwór nosi wyraźną cechę jedności, pod względem pomysłu i wykonania. W prozie taka spółka prędkiej musi się udać; wiersz tymczasem, zwłaszcza wiersz tak silny i oryginalny jak w powyższym utworze, musiał koniecznie wypłynąć z jednéj myśli i z pod jednego pióra.

Nie pierwszy to raz, owa rycerska postać Maurycego pojawia się w dramacie. Scribe podniósł ją przed trzydziestą kilku laty; następnie Lègouvè nadał jéj większy jeszcze rozgłos, w *Adryannie Lécouvreur*, wsparty talentem Racheli i Ristori. Dzisiejsi autorowie, korzystając z nowych szczegółów biograficznych, wydobytych z pomroku przez uczonego René Taillandier, wprowadzili do dramatu ciekawe szczegóły dotyczące się ostatnich chwil bohatera.

Postać marszałka samodzielnie występuje na tle XVIII wieku. Syn Augusta II króla polskiego, i Aurory Königsmark, należy do rzędu owych awanturniczych bohaterów, których przeszłość przedstawia śmiałe typy w Wallensteinie, don Juanie z Austrii, a których niejako odbiciem byli nasi Beniowski i Dzierżanowski.

Dumny i dzielny Maurycy, zrodzony u podnóża tronu, a jednak pozbawiony wszelkich praw, postanowił zdobyć je ostrzem zwyciężkiej szabli. Całe życie zbiegło mu na zuchwałych przedsięwzięciach, i śmiałych zamysłach, których przyszłość w rzeczy rzeczywistniéj nie miała. Jak orzeł za łupem, on gonił za koroną. Przebiegając z jednego pola bitwy na drugie, sądził nie raz, że pochwy-

cił w dłoń przedmiot gorących pragnień; korona przecież, istna *fata morgana*, wymykała się z rąk dumnego zapaśnika. Napróżno go nił za nią w Kurlandyi, daremnie kołatał o godność wice króla Flandryi: bezskutecznie. W późniejszych latach dał się na tron w Tabago. Z niezliczonych przygód i zwycięstw, pozostała mu tylko aureola sławy, której wieki nie zgaszą, nad czołem bohatera Pragi, Rancour i Fontenoy.

Strącony ze szczytu dumnych marzeń, Maurycy Saski w pięćdziesiątym roku życia zamieszkał nad Loarą, w zamku Chambord. Odwieczne to gniazdo Walezyuszów, otoczył działami, zabraniami pod Fontenoy, przystroił w chorągwie zdobyte pod Laufeld. Trzymał przy boku straż prawdziwie monarszą, złożoną z pułku ułanów i dragonów. Jego dwór składało liczne rycerstwo; w braku wojny uganiał jelenie i odyńce po lasach. Wieczory rad spędzał w teatrze, który utrzymywał w zamku. Słowem żył jak król, bawił się jak król, a zalotny jak Henryk IV, zatapiał nieraz orle szpony w sercu bezbronnych ofiar.

Przez długi czas mniemano że Maurycy umarł spokojną śmiercią, w onym zamku Chambord, kędy przeżył lat kika po królewsku, ostatnie dopiero badania Taillandiera, oparte na pośmiertnych pamiątkach Grimma, a bardziej jeszcze na żywej tradycji miejscowej, wykazały że marszałek zginął w pojedynku z rąk księcia Conti. Skon podobny w rzeczy samiej w większej jest harmonii z życiem rycerskiego męża, niżeli zwyczajna śmierć na łożu. PP. Amiques i Desbautin, stosownie do téj wersji przecinają pojedynkiem dni bohatera swego.

Pierwszy akt zaczyna się w obozie pod Rancour, ostatni kończy w Chambord. Dramat obejmuje więc cztery lata, (1746—1750). Maurycy poległ w 54-tym roku życia, w chwili gdy sława jego najżywszym zapromieniała blaskiem.

Do licznych ofiar zalotnego rycerza, historya stawia obok Adryanny Lecouvreur, inną aktorkę, równie młodą, równie piękną, Justynę Favart, żonę aktora-poety, słynnego w swoim czasie.

Pieśni Favart'a przetrwały do dziś dnia w pamięci Francuzów. Był on niejako poprzednikiem Berenger'a. Postać to równie awanturnicza w szczerpłym zakresie swoich działań, jak nią był marszałek saski na wielką skalę. Favart dyrygował operą komieczną w Paryżu; wówczas poślubił primadonnę swojej opery piękną pannę Chantilly; ta mimo sypanych jój wieńców, mimo zdobytego rozgłosu, oddała wraz z ręką serce czyste i niewinne temu, któremu poślubiła wiarę przed ołtarzem.

W skutek współzawodnictwa i intryg dyrektorów opery włoskiej, odebrano Favart'owi zarząd jego teatru. Zmuszony opuścić Paryż, obiegał kraj z garstką wędrownych aktorów. Maurycy Saski wezwał go do obozu pod Rancour, chcąc wesołą rozrywką podtrzymywać ducha w wojsku swoim.

Akt pierwszy, powtarzamy, rozpoczyna się w Rancour o brasku dziennym. Słońce wschodzące jasno, oświeci jeden z najchlu-

bniejszych dni w życiu sławnego wodza. Nienawistny mu książę Conti przyciąga z wojskiem z po nad Renu. Gniew jego wybucha z całą gwałtownością.

Favart tymczasem mieści się w młynie z garstką wędrownych aktorów, piękna Justyna wpada w oko Maurycemu; ale nieugięta w poprzysiężonej wierze, odrąca jego miłość. Wprawdzie urok sławy marszałka saskiego, działa mimowoli na sercu kobiety, porywa silnie jej wyobraźnię. Im większe niebezpieczeństwo, tém zaciętsza walka, tém wytrwalszy jej opór. Nie widząc innego sposobu, ścigana gołąbka zdobywa się na odwagę: bądź co bądź uciecze przed jastrzębiem.

Gdy się to dzieje, książę Conti, otoczony gronem stronników, spotyka niemniej licznych stronników marszałka. Wśród przyjaciół Maurycego, widzie rej hrabia Froulay, obok występują markiz Valfons, hrabia Frixe i Beauvaux. Przy księciu Conti ukazują się: książę Clairmont, Lafare i Beaujon, intryganci dworscy. Sam Conti cierpki, gorzki, nie umie trzymać języka za zębami; szydzi z rodu marszałka, zowie go kondotierem, dowódcą niemieckim na żołdzie Francji.

Stary Rejtar ze straży Maurycego, Babusch marszczy brwi, odrąca kufel, ociera z piwa długie wąsy, i śmiało ujmuje się za nieobecnym panem.

BARUSCH.

Książę! jako żywo
Dwadzieścia cztery godzin ja pić mogę piwo,
Lecz nie tracę pamięci; i bić się też mogę
Dwadzieścia cztery godzin! a gdy pora w drogę,
Maszeruję czterdzieści tam, gdzie iść potrzeba.
Ale już od kwadransa, niech mi świadczą nieba
Miara méj cierpliwości przebrała się całkiem
Na tych, co się tu ważą pomiatać marszałkiem.

CONTI.

Blažen!

BARUSCH.

Nie trwóż się panie, znam polor światowy,
Szklénica mi rozumu nie wybiła z głowy;
Jasno jeszcze dostrzegam, okiem niezamgloném
Ten kapelusz potrójnym opasan galonem
I z tych panie tytułów uznaję w téj dobie
Cześć, jaką twój książęccój winienem osobie.

CONTI.

Czego chcesz?

BABUSCH.

Chcę powiedzieć że boli mnie serce
 Gdy drwią z mojego pana francuzcy szyderce:
 Syn hrabiny Königsmark, gdyby też nic więcej!
 Nie zgasnąć mu przy Contich koronie książęcej!
 Bo imię Königsmarków łśni chwałą nie lada,
 Nie śmi go blask purpury twojego naddziada.
 W tysiąc sześćset czterdziestym piątym roku, oto
 W Wormancyi wasz Turen ległby ze sromotą.
 Kto ocalił Turena? ha! Königsmark stary
 Co Gustawa Adolfa wiódł niegdyś sztandary.
 A inny Otto-Wilhelm świecił blaskiem nowym,
 Przy Turenie marszałkiem wszak był obozowym,
 I pułkiem cudzoziemskim on dowodził z chwałą,
 A król szpadą rycerza uczył okazałą.
 Potem na Turecczyźnie gdy za sławą goni,
 Poległ skonem walecznych z bisurmańskiej dłoni.
 A Jan-Karol Königsmark wart lepszego losu
 Padł trupem pod murami starego Argosu,
 Olbrzym jak te Homera sławne bohaterzy,
 W sprawie Rzymu, acz Lutra wyznawca tak szczery,
 Z wiernymi katoliki wytoczył krew spolem:
 Przed ostatnim z Krzyżowców uderzyć wam czołem!

Waleczny Maurycy szczep dzielnego rodu,
 W ślady wielkich naddziadów szedł wiernie od młodu;
 W nowe blaski przydział ich przesławne imię:
 Poczcijcież wy umarłych w tym żywym olbrzymie!

CONTI *z gniewem.*

Dość już tego! ta mowa zuchwała co znaczy?
 Mnie z innym a nie z tobą rozprawić się raczyć!

I książę Conti szuka rozprawy z Maurycym; ale zagrzmiały trąby, słychać bojowe hasła. Marszałek zawiesza rozprawę, czuje bowiem całą odpowiedzialność jaka ciąży na jego głowie. On tu naczelnym wodzem! Wtém odbiera wieść o nagłej ucieczce Justyny. Uniesiony gniewem, zapomina się chwilę. W obec nieprzyjaciela, nie widzimy już marszałka Francyi, ale zrozpaczonego kochanka. Chce w lot pospieszyć za nią. Nagle ryknęły działa. Wrzawa wojenna wytrzeźwia go z obłądu. Krew kipi w dzielnej piersi: uderza na armaty!...

Cały ten akt, pełen życia i ruchu, przypomina szyllerowskie-go Wallensteina: akcja rysuje się, charaktery silnie występują.

Następny akt odbywa się w Paryżu, podczas opery. Scena przedstawia łożę Justyny. Conti i inni panowie dworscy szydzą

uszczypliwie z Maurycego; powtarzają złośliwe wiersze wymierzone przeciwko niemu. Tryumf zwycięzcy budzi powszechną zawiść. Oburzona Justyna wyprawia wszystkich z łoży. Ledwie wyszli jawi się Favart.

Biedny Favart uciekł z Bruxelli. Ścigany za długi tułał się po różnych miejscach. Nie widząc innego środka ratunku, żąda usilnie od żony, aby korzystając z wpływu swojego nad marszałkiem, prosiła go o zaspokojenie tych strasznych długów które nie dają mu odetchnąć. Żądanie to tém słuszniejsze, iż Maurycy winien mu jeszcze kwotę za owe przedstawienia w Rancour. Justyna szarpana na wszystkie strony sama nie wie co czynić.

Wtém dowiaduje się Favart że marszałek postanowił porwać Justynę, po skończoném widowisku. Wszystko już obmyślono w tym celu, słudzy porozstawiani, karetę czeka... Favart uniesiony gniewem i rozpaczą, zamierza śmiały krok. Przy pomocy przyjaciół, urzęda naprędce owacyą na cześć zwycięzcy z Rancour.

Skoro marszałek wskoczył do karety, zaczęm słudzy zdążyli przyprowadzić Justynę, podniecony lud wyprzega konie, tłum wlecząc tryumfatora w progi jego pałacu. Justyna tymczasem korzystając z zamieszania, ucieka po raz drugi. Favart ucieka także.

Schodzą się razem w domu plebana wiejskiego Briffant, gdzie się rozpoczyna akt trzeci. Favart przybywa najprzód z towarzyszem, wkrótce nadbiega Justyna z drugą aktorką. Poczciwy pleban nie śmie odmówić im przytułku, pomimo skrupułów sumienia. Dawny to znajomy Favart'a, niegdyś towarzysz szkolny.

Marszałek wysłał w pogoń za zbiegami, swoich zbrojnych Rejtarów; poruszył on wszystkie sprężyny: zaledwie że Justyna schroniła się do plebanii, urzędnik sądowy wzywa ją w imię prawa. Favart wybucha szalonym gniewem. Odwołuje się do kapłana, wzywa sprawiedliwości Bożej przeciwko gwałtom.

FAVART DO BRIFFAUT.

O tak! ta Nessusa szata,
Śmiech i szal, zwodną maską kryje w obec świata
Krzyk rozpacz, co pieśnią wybiega nam z duszy.
Brzydzisz się mną!... wszak prawda?... mój los cię nie wzruszy!
Wypchnij mnie... kopnij nogą... pluń mi w oczy śmiało!
Zwij błaznem, arlekinem. ludzkości zakała,
A gdy pójdę z tych progów... Ojcie! na kolana!
Przed Chrystusem na krzyżu, błagaj za nas Pana,
Módl się za świat on teatr, co we krwi i pyle,
Gra na seryo jarmarczne nasze krotochwile!

BRIFFAUT.

Zostań ze mną!

FAVART.

Nie mogę!

BRIFFAUT.

Mój synu kochany!
Zdrój współczucia wytryska z téj piersi wezbranéj
Ku tym biednym, co śmiechem słońią łzy boleści,
Których kościół potępia, których świat bezcześci.

z głębokim poruszeniem.

Przed chwilą kiedy rozpacz przebodła twe łono,
Nie pewien czy pod moją czaszką postrzyżoną
Nie dopatrzysz się trupa, pytałeś czy jeszcze
Krzywda biednych w méj piersi budzi gniewu dreszcze.

podając mu rękę.

Weź tę rękę, mój synu, weź tę rękę ciepłą,
Co leczy serca chore, budzi wiarę skrzepłą,
I w imieniu Chrystusa tarczą łaski słoni.
Czujesz-li jak ta ręka zadrżała w twój dłoni?

(wskazując Favart'a i aktorów)

O! smętni słudzy bożka swawoli i szalu!
Nienawidzę ja siłą waszego zapachu
Onéj dworskiej gawiedzi, co się butnie waży
Kraść żony wam biedakom od stopni ołtarzy.
Ja kapłan, przepowiadam, że chwila już bliska,
A słaby przeciw mocnym swe prawa odzyska.
Tak, już kiełkuje ziarno téj szalonej burzy,
Grom wzbiera, w krwi powodzi wnet świat się zanurzy,
Ugięci pod brzemieniem niedoli wiekówéj,
Podniosą biedni z prochu potarżane głowy,
Wykołysan w marzenia ciszy tajemniczéj
Lwim porykiem brzmi zdala straszny hymn goryczy,
Słusznego gniewu niebios miara dopełniona!
Bóg ich skazał!..

FAVART.

Bóg zacznie—lud reszty dokona!

Dwa ostatnie akta przenoszą nas do Chambord. Maurycy Saski przepychem dworskim, ucztami, szalonym wirem zabaw usiłuje zabić nudotę, i srodze ciążyącą mu bezczynność. Dręczy go pycha zawiedziona, wspomnienie Justyny zakrwawia mu serce. Złowrogie przeczucia, niby czarne sępy, krążą nad głową smętnego bohatera.

Posłuchajmy jego monologu, na chwilę przed zjawieniem się nieprzebręganéj Nemezis, w postaci księcia Conti.

MAURYCY.

Tak, chwila już bliska.

Pod tym ponurym dachem starego zamczyska
Czekam gościa, i ucztę gotuję tu nową
Dla nas dwóch... wielką ucztę—

(*Po chwili milczenia*)

Po nad moją głową

Kołyszą się wspomnienia, jak ptaki cmentarne,
Czasy ubiegłe w przeszłość, dni zgryzoty czarne,
Dni nudów, zniechęcenia, dumy zawiedzionej,
Jednodniowych miłości, zawiści szalonej.
Wkrąg ponurych widziadeł horowód się tłoczy,
Widma, z lat mojej nawet młodości uroczeń!
Z różnych stron, z różnych krajów, w marę jak je liczę
Poznaję na ich czole piętna tajemnicze;
Piętna bólu i sromu; dążą ku mnie prosto.
Wódz ich, los niezbłagany, napędza je chłostą,
Stańcież wkoło szeregiem wy, mary złowieszcze!
Ha! niechże oko w oko spojrzę wam raz jeszcze,
Ostatnim mnie pokłonem uczcijcież na wieki,
Świadki dni pogrzebanych w przeszłości dalekiej!

(*z niespokojnością*)

Zkąd ten robak tak krwawo wżarł się w łono moje?
Nieraz, gdy mnie duch czarny wyzywał na boje,
Kiedy wichry w przelocie jego skrzydła siekły,
Ledwie hasło posłyszał, rwałem się jak wściekły.
Zkąd ta płonna obawa nie znana mi z młodu?
Przecż serce mi stężało—istna bryła lodu?
Czemu? ha! kto odgadnie tajniki żywota!
Bo u kresu dni naszych są żelazne wrota,
Co widnokrąg przed nami zamykają nagle.
Gdy myśl po nim rozwija lotnych pragnień żagle.
Czemu? Ha! bo spustoszał dla mnie świat szeroki:
Wnet go rzuce, a nie wiem kędy zwrócić kroki,
Czemu? bo ten co rychło stanie przed mym progiem,
Nie jest-li ślepych losów narzędziem złowrogim?
Prostym ich wykonawcą, mieczem co uderza
Konieczną party siłą bez woli szermierza,
Żywot mój dopełniony, kres już niedaleko,
Cóż losy dać mi mogą? chyba trumny wieko!

W tej chwili daje się słyszeć turkot na dziedzińcu zamkowym.
Przybywa Conti... syn dawnego wroga, który po ojcu odziedziczył
nienawiść ku Maurycemu. Nienawiść tę podniecał Favart. On to
wygrzebał z prochu zapomnienia dawną miłość marszałka do jego
matki; on kierował ramieniem księcia, on użył go za narzędzie
własnej pomsty.

Justyna pochwyciła sieć intryg. Przybiegła uwiadomić Maurycyego o grożącym mu niebezpieczeństwie. Ocalić go, nie było w jej mocy.

Dwaj zapaśnicy występują do walki. Maurycy pada ugodzony śmiertelnie. Justyna przybiega bez tchu. Widząc go we krwi pada u głów konającego. Rozpacz wyrывa z jej ust pierwsze i ostatnie wyznanie.

Tu pojawia się Favart.

Polegli!—woła patrząc na trupa.— Jam go zabił! sam tego chciał.

I podnosi z ziemi pół omdlałą Justynę.

Chodźmy ztąd co prędzej.

Musim poddać oboje kark pod jarzmo nędzy.

Cień tego umarłego serca nam rozdziela....

Ha! by świat bawić pieśnią, potrzebaż wesela?

Dramat przyjęty był z zapalem. Świetna wystawa i wyborna gra artystów przyczyniły się nie mało do powodzenia sztuki.

Ciż sami autorowie wykończają nowy dramat wierszem w pięciu aktach p. t. *Ali Pasza*.

Świat naukowy paryzki żywo zajmuje się odkrytymi arenami, o których wspominaliśmy niedawno. Towarzystwo Numizmatyczne i archeologiczne, w dniu 1 czerwca wyprawiło wielki bankiet na cześć tego, tyle ważnego dla historii odkrycia.

Na wezwanie p. Ponton d'Amecour prezesa Towarzystwa, zebrali się członkowie Instytutu, Eichhoff, Renau i inni uczeni archeologowie, jak Henri Martin, księża: Moigno i Michon; przedstawiciele dziennikarstwa: Mouselet, Fournier, Ulbach, Ulryk i Wilfryd Touvielle. Ciało prawodawcze przedstawiał Glaise Bisoin.

O pół do siódmej wieczorem, osmdziesiąt zaproszonych osób zgromadziło się w arenach, gdzie ksiądz Michon, z zapalem uczonogo antykwaryusza, przedstawiał im nowe spostrzeżenia swoje o ważności tych wykopalisk.

Łoże gdzie trzymano dzikie zwierzęta, przetrwały dotąd nieuknięte, zarówno jak mur opasujący areny. Dwie trzecie części tego muru pokryte jeszcze ziemią. Aby je wydobyć, trzeba zburzyć klasztor zakonnic zbudowany na wzgórzu.

Muzeum urządzone przy arenach staraniem Towarzystwa Numizmatycznego, zapełnia się coraz to większą liczbą ciekawych przedmiotów: widzimy tam kosztowne ozdoby niewieście i ważne zabytki ceramiki gallo-rzymskiej. Największą osobliwość tego zainicjowanego muzeum, stanowi olbrzymi szkielet ludzki, wysoki na siedem stóp. Jedni widzą w nim gladyatora rzymskiego, może Daka lub Słowianina, drudzy chcą dopatrzeć w nim Galla,

inni wreszcie mienia go Frankiem. Ci ostatni opierają się na tém, że przy głowie wykopanego olbrzyma znaleziono urnę, którą biegli ceramicy odnoszą do wieku IV. Henri Martin utrzymuje, że mógł to być jeden z towarzyszków Klowisa. Wódz ten, pan Soissonu, w częstych napadach na Lutecyą, zatrzymał się zapewne w arenach, które jako położone opodal od grodu, nie mogły być bronione przez oblężonych.

Oprócz tego olbrzyma jest tam kilka innych szkieletów. Uderzają w nich członki powykrzywiane, jak gdyby pomarli w okropnych katuszach, niektórzy widzą w nich szczątki chrześcijańskich męczenników.

Areny zasypane były ziemią, naprzód za czasów Chilperyka, a następnie w kolei wieków, narzucane nowymi pokładami, z czego urosł dość wysoki pagórek.

Uczta odbyła się w pobliskim ogrodzie, ofiarowanym na ten cel przez właścicielkę pannę Savard. W czasie uczty prezes otrzymał depeszę telegraficzną z Londynu. Sir Good Stuff, uczony archeolog i członek parlamentu, pięknym wierszem wyraził życzenie, aby areny mogły być zachowane. Wierszem też zaimprovizowanym naprędce odpowiedział mu obecny Edward Fournier. I wiersze i mowy przy toastach, krążyły około tematu *Arenae servandae!*

Do najznakomitszych należało przemówienie księdza Michon, który udowadniał, że areny nie były pomnikiem rzymskim, ale że je zbudowali starożytni Gallowie, praojce dzisiejszych Paryżan.

Po bankiecie, towarzystwo przeszło znów do aren, oświeconych ogniem elektrycznym i bengalskim. Szkielety i całe ruiny dziwnie fantastyczny przedstawiały obraz. Tłumy przyglądały się ze wzgórza i pełnym zapału okrzykiem, objawiały współczucie dla uczonych. Była to manifestacya ogółu na rzecz zachowania aren. Potrzebny to objaw, gdyż stronnictwo *ludzi praktycznych*, żartuje sobie ze starych murów, nie przywiązując do nich żadnej wagi. Opozycya ich tym większa, że tu idzie o znaczny wydatek na zakupienie ziemi i utrzymanie odwiecznego pomnika.

Dwadzieścia sześć towarzystw naukowych z prowincjonalnych miast, podało do Izby prawodawczej prośbę podtrzymującą myśl Towarzystwa numizmatyczno-archeologicznego. Areny jak się zdaje zostaną ocalone.

W jednym naukowém Towarzystwie, Bohdan Zaleski czytał list Domejki obejmujący bardzo ciekawe szczegóły z młodych lat Mickiewicza. Domejko oddawna rektor uniwersytetu w Chili jest siostrzeńcem pani Wereszczakowej, matki owój Marylli wspomnianej z takim zapalem przez naszego poetę. Marylla, jak wiadomo, poszła za Putkamera; oboje już nie żyją.

Ów odczytany list Domejki będzie ogłoszony drukiem wraz z następniemi jego listami. Ze szczegółów jakie obejmuje, do najciekawszych i najmniej znanych należy ocenienie osobistości Ma-

rylli. Ze strony fizycznój nie odznaczała się wielką urodą, oczy tylko nadzwyczaj miała piękne i wymowne. Była w jednym wieku z Adamem, lub może o rok młodsza. Różnica majątku bardzo wielka, stała się główną przeszkodą w ich połączeniu. Marylla była panną posażną, gdy tymczasem Mickiewicz nie miał nic oprócz nauki i poetycznego geniuszu. Domejko dodaje uwagę, że z pomiędzy licznych znajomych Adama, ona tylko jedna potrafiła ocenić jego podniosły umysł. Ilekroć mówiła o nim, wynosiła go jako najpierwszy geniusz wieku, wtedy, kiedy ludzie wyższych nawet pojęć, żyjąc w jego towarzystwie, widzieli w nim tylko młodego, pełnego zdolności akademika.

Matka i bracia nie przypuszczali nawet, aby Marylla mogła być zajęta Adamem. Kiedy więc młody, bogaty Putkamer, zaczął uczęszczać do domu i oświadczył się formalnie o jej rękę, wielkiem było zdziwienie wszystkich widząc wahanie się panny. Związki te bowiem, uważane ze zwyczajnego stanowiska, zdawały im się stosowne, a nawet bardzo świetne.

Przez lat dwa po zamąż pójściu, Marylla była wprawdzie wzorową żoną, wszyscy stawiali ją jako przykład; mąż tylko, czuł że nie posiada jej duszy. Był to człowiek bardzo światły, najszlachetniejszych uczuć; czekał cierpliwie zmiany. Jakoż kiedy Marylla została matką, oddała się zupełnie mężowi i rodzinie. Nie ukrywała ona wysokiego szacunku dla Adama, rozgłos wznagającej się jego sławy, bynajmniej ją nie dziwił, przeczuwała ją bowiem od lat dawnych.

Domejko opowiada w tymże liście. pierwsze poznanie Mickiewicza z Zanem. Obaj młodzi naówczas chłopcy, znaleźli się razem w przedpokoju u dziekana Mickiewicza, do którego mieli polecające listy. Za pierwszym poznaniem pokochali się szczerze. Mickiewicz przyjechawszy do Wilna, miał piętnaście rubli całego majątku. Niewiadomo czy dziekan krewnym był naszego poety. Adam utrzymywał że między nimi nie zachodziło bliskie przynajmniej pokrewieństwo. Główną protektorkę znalazł w krewnój dziekana. Weszła ona do przedpokoju w którym czekali obaj chłopcy na audyencyą. zapytała ich o nazwiska, i od tej chwili zajęła się gorliwie młodym Mickiewiczem.

Przed odczytaniem listu, Bogdan mówił o samymże Domejce. Ciekawa to i nadzwyczaj sympatyczna postać, pozyskał on piękne imię we Francyi, gdzie odbył nauki w szkole górniczej, poświęcając się wyłącznie geologii. Godność rektora jaką od lat dawnych piastuje w San Jago, z wielu względów więcej tam znaczy, niż u nas w Europie.

Domejko pracuje obecnie nad geologią Polski. Przysłał tu niektóre spostrzeżenia swoje w tym względzie. Ważne to spostrzeżenia. nie tylko dla geologów; sięgają niemięj w dziedzinę etnografii i historyi. Należy on do tych uczonych, którzy tłumaczą dzieje walką wolnej woli człowieka z prawami miejscowej przyrody. Imię jego często daje się spotykać w buletynach akademii nauk.

Śmierć Dickensa jest prawdziwą klęską dla literatury angielskiej. Przez lat zgórą trzydzieści był on tęp zwierciadłem, w którym przeglądały się wszystkie warstwy narodu, które powtarzało wiernie ich oblicza, nie schlebiało nikomu, ani wielkim ani też małym; nie przepuszczało żadnej zdrożności, i owszem, uwydatniało wszelkie chorobliwe narośle na ciele społeczeństwa.

Rzecz napozór dziwna, że tak nieprześlągany anatom serc ludzkich, jakim był Karol Dickens, nie obudził jednakże nienawiści, w tych nawet, w których myśli czytał jakby w otwartej książce, których chłostał biczem dowcipu swego, na których czoło przywoływał rumieniec wstydu. Zastanowiwszy się łatwo to wytłumaczyć. Dickens jeśli krajał serca skalpelem, czynił to na pożytek ułomnych braci, pragnąc gorąco uleczyć ich z zastarzałych narowów. Serce jego biło nienawiścią ku złemu, a obok tego uderzało prawdziwą miłością ku ludziom. Nie dostrzedz w nim owęj drażliwej osobistości, tak dotkliwej na wszelką obrazę, tak gotowej do pomszczenia urojonych zniewag. Słowa jego siekły jak różgi, lecz nie bluzały jadem ani żółcią.

Nie szukał on nigdy sztucznych środków do działania na nerwy i zmysły, do zaost్రzania częściej ciekawości czytelnika. Jemu szło przede wszystkim o moralny pożytek. Jeśli przedstawiał złe w całej ohydzie, to nie dlatego aby się lubować w obrazach ludzkiego skażenia, ale żeby wykazać jego szkarady, i obrazem smutnych owoców zepsucia, pociągnąć ku prawdzie, ku dobremu.

Dickens może jedyny pisarz dzisiejszych czasów, zachować ten śmiech szczery, serdeczny, głośny, ten swobodny wybryk dobrego humoru, co się mimowoli udziela czytelnikom. Śmiał się Dickens z głębokości serca, a tym śmiechem poruszał zarówno głębie serc ludzkich, aby tęp silniej wstrząsnąć niemi, i wyrwać je z obłądu. Dickens jak Szekspir, był pisarzem czysto angielskim, lecz równie jak on, badał przede wszystkim serce człowieka, ztąd tak wielka popularność ich w Europie.

Któż i u nas nie zna powieści Dickensa? szkoda tylko że tłumaczyć takich jak on pisarzy bardzo trudno. Nie znamy ostatnich przekładów jakie mogły wyjść w kraju, ale pierwsze jak *Nikleby*, zbyt wiele zostawiają do życzenia. Trudno zapewne tłumaczyć pisarza tak ściśle narodowego jak Dickens; nie chodzi tu tylko o dokładną znajomość języka angielskiego, potrzeba obok tego znać do gruntu miejscowe obyczaje, aby nie sparodyować autora. Nie na tęp jednakże polega najgłówniejsza trudność. Potrzeba aby tłumacz dostroił nie same tylko wyrazy do znaczenia wyrazów; potrzeba aby dostroił ducha swego, i wydobył z siebie ton odpowiadający harmonijnie duchowi autora którego tłumaczy. W tęp leży tajemnica dobrych przekładów.

Francuzi nie przeszli nas w tym względzie. Mają oni w tłumaczeniu wszystkie powieści Dickensa, lecz z tych jeden tylko *Dawid Copperfield*, przekładu A. Pichot, i *Mała Doritt* przekładu

Wiliama Huques, odtwarzają wiernie oryginał: inne są po prostu księgarską spekulacją.

Dickens urodził się prawie w ubóstwie. Pierwsze jego zajęcia wpłynęły znakomicie na charakter prac literackich. W młodych latach był przy adwokacie, i tu badawczy jego umysł, miał szerokie pole do poznania serca ludzkiego. Później pracował przy dzienniku radykalnym *True Sun*, następnie przy *Zwierciadle parlamentu*, gdzie poznał tajemnice polityki dziennikarskiej. Tak usposobiony wszedł do redakcyi *Morning Chronicle* jako steno-graf. W tym to dzienniku zaczął drukować humorystyczne obrazy swoje, które w krótkim czasie zjednały mu niesłychany rozgłos.

Zachęcony powodzeniem jął wydawać pod pseudonimem Boza, sławny *Pickwick Club*. Jest to komiczny obraz mniemane-go towarzystwa amatorów, którzy wzięli za cel badać obyczaje miejscowe, a szczególnie obyczaje ludu. Wyborne karykatury Browna bardziej jeszcze ożywiły, tę humorystyczną publikacją.

Dwie powieści: *Nicholas Nickleby* i *Oliwier Twist*, wykazujące w dramatyczny sposób nędzę i śmieszności społeczeństwa angielskiego, dały poznać w Dickensie genialnego pisarza. Wystąpił on jako twórca nowego rodzaju w powieściopisarstwie, jako nieporównany malarz rzeczywistego życia. Miał wtedy lat dwadzieścia pięć. Odtąd pojawiały się bez przerwy, coraz nowe utwory mistrza, przekładane w oka mgnieniu na wszystkie języki europejskie, jak: *Barnaby Rudge*, *Dombey*, *Copperfield*, *Blake House*, *Ciężkie czasy*, *Mały Dorrit*, że pominiemy wiele innych. Z tych *Dawid Copperfield*, o tyle więcej zajmujący, że jest w pewnym względzie autobiografią. Dickens przypomina tu swoje lata dzieciń-ne, próby i prace, nadzieje i zawody młodości. Dzieło to porwało serca czytelników i w szczególny sposób spopularyzowało imię autora. U nas *Dawid Copperfield* znany w skróconym a wybornym przekładzie F. S. Dmochowskiego.

Otoczony całym blaskiem chwały pisarskiej, Dickens odwiedził Amerykę. Z tej podróży przywiózł mnóstwo notat zesteno-grafowanych na gorąco, pod wpływem pierwszego wrażenia. Owe notaty posłużyły mu do ułożenia wybornej powieści *Marcin Chus-slewit*, wiernego obrazu amerykańskich obyczajów. Chłoszcze w nim ostro wady młodego społeczeństwa, nie przebacza nikomu, szczególnie dziennikarzom, których przedstawia jako najbezwstydniejszych szarlatanów. Mimo ostrych prawd jakie rzucał w oczy Amerykanom, nie postradał bynajmniej miru pomiędzy nimi.

Znakomity autor obok sławy, zebrał też ogromny majątek. Oprócz złota, którym wydawcy obsypywali każdy utwór jego pióra, znalazł on inne jeszcze źródło dochodu. Od kilkunastu lat urzą-dzał odczyty swoich własnych powieści. Za seryą złożoną ze stu czytań przedsiębiorca płacił mu po 250,000 franków. Umiał on wyborne stosować mimikę do słów, a tém samém podnosił ich znaczenie. Takie odczyty budziły niezrównany zapal i w Stanach Zjednoczonych i w Anglii.

W ostatnich latach poprobował sił na polu dramatyczném i równego doznał powodzenia. W r. 1868, w paryzkim Wodewillu odgrywano jego dramat *Abyme*. Na pierwsze przedstawienie przyjechał Dickens do Paryża, lecz nie miał odwagi przyjść do łoży; przez cały czas widowiska przesiedział w kawiarni drżący jak liść, z mocno bijącym sercem. Dramat ten przecież doczekał się stu przedstawień i nie małe ściągnął oklaski.

Amedée Pichot tłumacz *Copperfielda*, chcąc poprzedzić przekład dokładnym życiorysem, pisał do Dickensa z prośbą o notatki; odebrał na to dziwnie lakoniczną odpowiedź:

„Urodziłem się w Portsmouth, w hrabstwie Hampshire, 7 lutego 1812. Radbym dał panu szczegóły mego życia, ale postanowiłem sam je kiedyś opisać. Rozśmiejesz się zapewne gdy ci powiem, że nieraz czytałem moją biografią, i znalazłem w niej jedną nową, nieznane mi całkiem przygodę. Najciekawsze wyszły z pod pióra Francuzów.”

W kilka lat potem Pichot będąc w Londynie, przedstawił się sam Dickensowi. Sławny autor przyjął go z serdeczną gościnnością. W rozmowie nadzwyczaj prosty, chętniej mówił o żonie i dzieciach, niż o swoich pracach literackich. Słowa jego pełne życia przeplatane zawsze dowcipnym żartem, wyraz twarzy wesoły i szczery, budziły ufność i chwytaly za serce. Pichot doświadczył tego wpływu.

Należał Dickens do tych pierwszorzędných umysłów, które na obliczu wieku wyciskają niezatarte piętno. Dowiódł on, czém się stać może pióro w ręku powieściopisarza, który miłość sztuki umie połączyć z miłością prawdy i ludzkości.

Dickens umarł uderzony apopleksyą, 9 czerwca, w letniej willi swojej Gards' Hill, w hrabstwie Cumberland. Rodzina znając jego wstręt do przepychu i częściej okazałości, pragnęła pochować go cicho w kościele katedralnym w Rochester. W końcu jednak zmuszoną była uleść powszechnym naleganiom. Kraj żądał aby tak zasłużony pisarz spoczywał w Westminsterze, tym Pantheonie angielskim.

Na wyraźne zastrzeżenie pozostałych, pogrzeb odbył się w formie najprostszej, nawet bez poprzedniego ogłoszenia w dziennikach. Zwłoki sprowadzone umyślnym pociągiem na stacyą drogi żelaznej, zkąd karawanem bez żadnych ozdób przewieziono je do Westminsteru. Za trumną jechało czworo dorosłych dzieci zmarłego, i najbliżsi krewni. Po odbytej ceremonii kościelnej, pogrzebano zwłoki w kaplicy zwaney *Kapliczką poetów*. W tej kaplicy spoczywają sławni uczeni i artyści: Scheridan, Macalay, Addison, Johnson, Garrick, Haendel, Goldsmith, a nakoniec Thackeray; nieco dalej widać popiersie Szekspira.

Ciekawi poczęli się tłoczyć, ale zamknięto na klucz drzwi kościelne. Nabożeństwo odbyło się bez śpiewu i muzyki, odgłos tylko organów potraçał głucho sklepienia. Na trumnie dębowej

wyryto nazwisko, datę urodzenia i śmierci; u głowy leżał wieniec róż białych.

O 10-tój z rana skończył się cały obrzęd. Otworzono wtedy kościół. W ciągu dnia przeszło 100,000 osób przybiegło uczcić zwłoki wielkiego pisarza, którego postać od lat trzydziestu, blaskiem najczyściejszej sławy świeciła nad Anglią.

Akademia Francuzka wybrała w tych czasach dwóch nowych członków: fotel po księciu Broglie otrzymał znany publicysta Duvergier de Hauranne; miejsce zmarłego Pongervilla, zajął X. Marmier powieściopisarz i podróżnik. Ten ostatni zajmował się i historią Polski w dziele o Pomorzu Nadbałtyckim. Do ostatnich utworów jego należy powieść: *Podróże Nilsa*. Sprawozdanie z niej damy w następnej kronice.

Stosownie do raportu Guizota, taż akademia przeznaczyła pierwszą nagrodę *Gaubert* za rok 1870, p. Mortimer-Ternaux, za *Historię Terroryzmu*, której wyszedł tom siódmy.

Konkurs ufundowany przez Dra Beunèche de la Corbière został też rozstrzygnięty. Przedmiotem rozprawy: *Małżeństwo* uważane pod względem *moralnym, religijnym, prawnym i społecznym*. Nagroda przyznana p. Legrand adwokatowi z Valenciennes.

Hrabina de Caen przekazała testamentem, oddziałowi malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych, 200,000 franków, z zastrzeżeniem, że procent od téj summy w ilości 10,000. ma być użyty na pomoc młodym artystom.
